

Początki RSA – między opozycją a alternatywą

Wywiad z Januszem „Janym” Waluszko

Janusz ”Jany” Waluszko, Mateusz Flont

2019

37 lat temu, w czerwcu 1983 roku, powstał Ruch Społeczeństwa Alternatywnego. Z początku RSA związane było z opozycją antykomunistyczną i alternatywnymi grupami artystycznymi, lecz z biegiem czasu – obserwując bierność opozycji – przekształciło się w grupę anarchistyczną. Zachęcamy do lektury drugiej części wywiadu z Januszem „Janym” Waluszko opublikowanej na łamach zina CHAOS W MOJEJ GŁOWIE (nr 20, 2019)

Janusz „Jany” Waluszko (ur. 27.07.1962) to inicjator Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego ('83), Międzymiastówki Anarchistycznej ('88) i Federacji Anarchistycznej ('89). W opozycję antykomunistyczną zaangażowany od 1978 r. W latach 80. więziony, wielokrotnie zatrzymywany na 48 godzin. Rozpracowywany przez Służbę Bezpieczeństwa, a potem w latach 90. przez Urząd Ochrony Państwa. Redaktor lub współpracownik wielu pism anarchistycznych i alternatywnych (m.in. „A Cappella”, „Mać Pariadka”, „La Bestia”), także autor książek, np. wydanej we współautorstwie w 2019 r. „Bez atomu w naszym domu”. Protesty antyatomowe w Polsce po 1985 roku. Bibliotekarz, historyk, pasjonat architektury. Przez wiele lat zwany „papieżem anarchizmu”.

Przepytował: Mateusz Flont (rozmowa jest fragmentem planowanej książki – wywiadu rzeki).

CHAOS: Kiedy zetknąłeś się z anarchizmem jako ideą?

Jany: Pamiętam, że pierwszą osobą, która mnie w ten sposób określiła, był Tirana (ksywa od komunistycznego radia o tej samej nazwie, którego był fanem) – on dzisiaj stoi raczej po stronie skrajnej prawicy, ale na przełomie lat 70. i 80., będąc uczniem naszego liceum, był takim proto-punkiem (chodził w ramonesce z tekstami napisanymi pastą do zębów), kiedy mało kto w PRL-u wiedział, czym jest punk. Wówczas miał odjazd na czytanie i podczas jednej z rozmów stwierdził: „Twoje poglądy to jest taki anarchizm, socjalizm bezpaństwowy jak u Abramowskiego”. I wtedy się dowiedziałem, że jestem anarchistą. Później podobnie było z młodszymi osobami z naszego środowiska; kiedy podrośli, to uświadomili sobie, że są anarchistami – częściowo przeze mnie, częściowo sami z siebie.

CHAOS: A kontakt z literaturą anarchistyczną?

Jany: Tak jak wcześniej wspominałem [część pierwsza wywiadu w nr 18 „Chaosu” – red.], zaczęliśmy od kabaretów i teatru podziemnego, od takiej szajby, która nam pozostała na lata – tylko że w pewnym momencie stała się ideowa i określiliśmy ją mianem anarchizmu. Ponieważ jednak była to szajba, to ten anarchizm był alternatywny, a nie ortodoksyjny. Kiedy nas pytano o różne dziewiętnastowieczne dzieła anarchistyczne, to np. Krzysiek Skiba odpowiadał, że nie zajmujemy się trupami. Albo jeszcze lepiej – udzieliliśmy wywiadu dla Tygodnika Mazowsze, gdzie na wstępie zaznaczyliśmy, że każdy będzie odpowiadał za siebie; pięciu gości na każde pytanie pięć odpowiedzi. W końcu pytają: „A co czytacie?”. Skiba odpowiedział, że Aleksandra Dumasa ojca, takiego francuskiego Sienkiewicza (co było oczywiście parodią tego, jak zapytali syndykalistów, czy znają twórczość Georgesa Sorela, a ci odpowiedzieli, że wolą Dumasa, bo przecież prości robotnicy nie interesowali się ideologią, którą dodatkowo post factum do ich działalności dorobiono), ja odpowiedziałem, że siebie, Zbyszek Stybel, że mnie i tylko Krzysiek Galiński zaczął mówić na poważnie [nasza rozmowa z nim w nr 16 „Choasu” – red.], że czytał Bakunina czy Kro-

potkina, a wszyscy brechę mieli. W zasadzie nawet w okresie naszej największej aktywności anarchistycznej przeczytałem góra parę rzeczy – bo dla mnie liczyła się praktyka – np. „Etykę” i „Pomoc wzajemną” Kropotkina. Co ciekawe równie dużo o anarchizmie dowiedzieliśmy się z wydawnictw Ministerstwa Obrony Narodowej czy Książki i Wiedzy. Peerełowska propaganda głosiła, że w Ameryce Południowej istnieją organizacje terrorystyczne pod nazwą Solidarność, ba! głosiła wręcz, że NSZZ „Solidarność” to terroryści, wyznający latynoamerykańską ideologię syndykalistyczną typu Solidaridad Obrera (pl. solidarność pracownicza). Oczywiście to były bzdury, ale oni w kółko nawijali o Tupamaros (Urugwaj), Ho Chi Minh (Wietnam), ataku na koszary Moncada (Kuba) itd. Tak jakby mówili nam: „To wasi idole, idźcie w tę stronę”. I efekt był taki, że skierowaliśmy się właśnie w tę stronę, tylko przeciw komunie.

CHAOS: Czyli „Gilotyna” – kolejne po „Nietoperzu” (1978/79) pismo, w tworzeniu którego brałeś udział – nie była jeszcze anarchistyczna?

Jany: To był ten stajl, ale „Gilotyna” to nie był jeszcze anarchizm; a jeśli tak, to na zasadzie, że żywiłowy, i to raczej było wyjaśnienie, dlaczego tą drogą doszliśmy do anarchizmu. Zaczęło się od tego, że w marcu 1980 r. zaczęliśmy robić ze Skibą gazetkę ścienną „Gilotyna” w I LO w Gdańsku, która wisiała w gablocie. W marcu 1981 r. „Gilotyna” przerodziła się w gazetkę powielaną. Po wprowadzeniu stanu wojennego zeszliliśmy do podziemia, ale zachowaliśmy numerację pisma. Następne numery wychodziły jako „Dialog” i „Podaj Dalej”. I tak było do lata 1982 r., kiedy to w półrocznicę stanu wojennego zrobiliśmy pod stoczną własną manifestację, na której było około 5 tys. osób. Wtedy się okazało – zresztą nie pierwszy i nie ostatni raz – że Solidarność nie lubi tego, co my robimy. Z ich strony pojawiła się informacja, że nasza manifestacja to albo prowokacja, albo działanie, którego ktoś nie uzgodnił z gdańskim regionem Związku; czyli normalne zachowanie zbiurokratyzowanej instytucji. I przez tę sytuację odmówili nam pomocy w kolportażu. Jednak chwilę później poznałem Jacoba i wszystko poszło w inną stronę.

CHAOS: W jakich okolicznościach się poznaliście?

Jany: Skiba ze swoją ekipą (Marek Wałuszko, Joanna Kreft i kilka innych osób), robili teatr podziemny na podstawie wierszy Barańczaka, Krynickiego i innych autorów niezależnych. Potrzebowali scenografii i wpadli na pomysł, że będzie się składać z plakatów ze stanu wojennego zrywanych z murów. Miał to załatwić Cezary, mój brat, bo ze swoją ekipą zrywali plakaty (zapadł mi w pamięć taki obrazek, na którym widniała pięść neandertalczyka z głazem rozbijającym orła i napisem „Dość!”), ale ponieważ we wrześniu 1982 r. Cezary był ranny, to zająłem się tym ja. A brat wiedział, że Wojtek Jankowski, czyli właśnie Jacob, również miał takie hobby. Kiedy się spotkaliśmy, to krótka rozmowa przerodziła się w osiem godzin, podczas których zgadaliśmy się, że jesteśmy anarchistami.

CHAOS: I to był początek RSA?

Jany: Tak, choć sama nazwa wzięła się od przypadkowego spotkania w 1983 r. Łaziliśmy sobie po mieście w grupce kilkusobowej na zasadzie bliżej nieokreślonej subkultury – ubieraliśmy się w ogrodniczki czy spodnie ze stoczni, trampki lub sandały, garnitur lub frak i tzw. order plamy, czyli jakiś skórzany breloczek. Pewnego razu trafiliśmy na jakichś bardziej ideowych hipisów, którzy siedzieli na stopniach ratusza w Gdańsku. Mieli ze sobą

otwartą walizkę, w której leżała bibuła (wtedy lub innym razem dostaliśmy też wydawnictwo antywojskowe z Krakowa pt. „Książeczka Wojskowa”). Rozdawali też ulotki i jedną z nich była ulotka podpisana przez Młodzież na rzecz Społeczeństwa Alternatywnego (czy coś takiego) – my tę rozwlekłą nazwę postanowiliśmy uprościć i zradyzalizować jako Ruch Społeczeństwa Alternatywnego, co było też naszym programem.

CHAOS: Co zakładał?

Jany: Ruch – forma działalności poza zhierarchizowanymi strukturami, gdzie nie ma liderów i żadnej organizacji, a przede wszystkim nie ma czegoś takiego, co wówczas istniało, czyli nadbudowy w postaci Niezależnego Zrzeszenia Studentów z nadbudową w postaci Solidarności, czyli odtwarzania tego, co robiła po drugiej stronie komuna. Społeczeństwa – dlatego, że nas nie interesowała polityka, a działalność właśnie na rzecz społeczeństwa i ze społeczeństwem; przy pomocy ludzi, a nie przy pomocy organizacji. Alternatywnego – ponieważ to była alternatywa zarówno wobec tej konfrontacji państwo kontra Solidarność (i gdzieś tam Kościół katolicki, który raz grał w poparcie społeczeństwa, a raz grał takiego negocjatora między obiema stronami), jak i alternatywny model na przyszłość, w którym mogą współistnieć różne formy życia, pracy, poszukiwania prawdy, organizacji społecznej itd.

CHAOS: To było widać również w piśmie RSA, czyli w „Homku”.

Jany: Najpierw opublikowaliśmy (ja, mój brat, Skiba i Jacob) manifest RSA w czerwcu 1983 r., a 10 września ukazał się pierwszy numer „Homka” – sama nazwa pochodziła od wiersza Jacoba o „człowieczku” (od francuskiego homme), którego fragment umieściliśmy przy winiecie pisma: „Każdy (...) Człowiek ma prawo nie tylko kultywować, lecz również tworzyć własną kulturę, religię, światopogląd, własny etos życia”. Choć warto zaznaczyć, że z tytułem pisma było podobnie jak z nazwą naszej grupy, tzn. pojawił się dość spontanicznie. Wcześniej Worcell i Chyby wymyślali tytuły bojowe typu „Barykada” czy „Walka”, a ja i Skiba parodystyczne typu „Organ dupków żołądnych”, „Bimbrownik” itp. Nie mogliśmy się zdecydować, aż pewnego dnia Jacob przyszedł ze zrobionym stempelem z nazwą „Homek”. Co ciekawe, po latach dowiedziałem się, że Służba Bezpieczeństwa próbując nas rozgryźć, nazwę pisma odczytywała od tyłu: Konspiracyjna Elitarna Młodzieżowa Organizacja Harcerska. SB-ecja na tyle zachwyciła się tym odkryciem, że zrobiła wjazd do Domu Harcerza, szukając tam naszej drukarni. To niby śmieszne, ale nie było takie dla szefa DH, gdy nagle wjechała do niego dwudziestoosobowa inspekcja straży pożarnej – warto zaznaczyć, że poza strażakiem o stopniu pułkownika, który firmował tę akcję, reszta to byli esbecy. Choć na pewno ludzi dziwiło, że straż zajmowała się głównie pobieraniem próbek czcionek z maszyn do pisania...

CHAOS: To nie było tak, że SB mogła wszystko?

Jany: W tym wypadku nie mogli po prostu tam wjechać i zrobić normalnej rewizji, bo nie mieli powodu, a facet, który w komitecie partii zajmował się młodzieżą, harcerstwem itd., by się obraził i złożyłby donos, że ktoś wszedł nieproszony na jego teren. No więc oni zrobili rewizję pod pozorem inspekcji straży pożarnej. Nas nie byli w stanie namierzyć...

CHAOS: Byliście w takim razie dobrze zakonspirowani.

Jany: Dziś, jako historyk, wiem, że służby żaliły się nieposiadaniem w RSA żadnych wtyczek, przez co nie byli w stanie nic o nas powiedzieć. Sprawa była bardzo prosta – byliśmy jak komórka biologiczna, która przepuszcza tylko to, co chce, a czego nie chce, to nie przepuszcza. Wśród nas była relacja krewni lub bliscy znajomi (np. ja i mój brat, Jacob i jego młodszy brat Bekon, bracia Hebel, bracia Babińscy, potem stary i młody Kurier etc.). Dlatego właśnie chodzono po omacku, bo trudno było znaleźć kilkunastoletniego funkcjonariusza SB, który by przeniknął do naszej grupy. Innym powodem było to, że nie byliśmy organizacją, w której obowiązywały przysięga, składki członkowskie, wykonywanie rozkazów itd. To jest zresztą kolejny przykład na to, jak nasza droga była odmienna od tej solidarnościowej. Bardzo często było tak, że jak jedna osoba wpadła, to od razu szło siedzieć kilka czy kilkanaście osób, bo goście się sypali. U nas była zasada, że się nie sypie – nawet siebie! Krzysiek Skiba zatrzymany 16 sierpnia 1985 r. w Jarocinie (rozzucał tam ulotki, za co dostał trzy miesiące aresztu) przez trzy dni twierdził, że jest Jimmim Hendrixem, póki koledzy nie wyczyścili jego chaty, a wtedy służby mogły sobie przyjechać. Ja byłem znany z tego, że w ogóle odmawiałem podania imienia i nazwiska (co jest takim minimum w zeznaniach), czy podpisywania czegokolwiek. Podobnie m.in. dlatego właśnie nie wpadliśmy przy tworzeniu „Homka”, bo podczas powielania pisma mieliśmy oblepione palcami, czego wielu nie robiło i zostawiali odciski palców na bibule. Nawet starając się nie wziąć za brudną część, to po paru razach gdzieś się palce zabrudzą na tyle, że zostawią ślady, a to wystarczy jako dowód w sądzie.

CHAOS: Tworzenie pisma w tamtych czasach chyba nie było łatwe. Czy mógłbyś wtajemniczyć nas w szczegóły pracy opozycyjnego drukarza?

Jany: Początkowo nasze pismo było przepisywane ręcznie („Nietoperz”), później przy ściennej „Gilotynie” używaliśmy maszyny do pisania i kserografu, a pierwszy numer na ofsecie to był ostatni jaki zdołał wyjść przed 13 grudnia 1981 r. W stanie wojennym najpierw robiliśmy na maszynie do pisania ulotki przepisywane przez kalkę lub wielokrotnie na maszynie i lepiliśmy to po murach czy chodziliśmy po klatkach schodowych – mieliśmy klucz od łyżew, którym otwieraliśmy skrzynki na listy. Musieliśmy oczywiście się spręzać, żeby zdążyć przed godziną milicyjną. Później zdobyliśmy powielacz białkowy. Matryca białkowa była rzeczywiście jak białko, które jest między jajkiem a skorupką, tylko że solidniejsza. Uderzenie maszyny do pisania – lub jak potem odkryliśmy pisanie po tym długopisem czy rysikiem – powodowało, że robiły się na matrycy małe otwory, które nie pękały, bo białko to trzymało, i przez nie przelewała się farba. Stanowisko drukarskie składało się z szyby, na której kładliśmy filc, później kawałek flaneli namoczonej farbą, na to kładło się matrycę białkową, następnie papier. Żeby powielić treść danej strony, należało przejechać po tym wszystkim wałkiem... takim zwyczajnym jak do ciasta. Całe stanowisko mieściło się w moim neseserze – wspomniany sprzęt plus dwie ryzy papieru, czyli taki najprostszy nakład drukarski. To było nie do wyczajenia na ulicy. Pamiętam taką sytuację. Była zima – ciekawe, że przeważnie kiedy było zimno robiliśmy pisma, a wiosną czy latem raczej były zadymy – i siedziałem u Jacoba w piwnicy. Przepisywałem przez dwa dni po osiem godzin teksty do kolejnego numeru „Homka”. Ponieważ temperatura wynosiła około -20, a żadnego ogrzewania w piwnicy nie było, to korzystałem z takiej małej, okrągłej kuchenki elektrycz-

nej. Trzymałem na niej stopy w butach, a kiedy guma zaczynała się palić, to odkładałem stopy na bok, później znów robiło się zimno i czynność powtarzałem. Potem przez kolejne szesnaście godzin inni „sztachali człowieczka”... To był nasz język, którym mogliśmy się posługiwać nawet przy milicji, a oznaczało to po prostu zrobienie kolejnego numeru „Homka”. Teraz farba – niektórzy mieli dojscie do farby od Solidarności, inni kupowali ją na lewo; z tym bywało różnie. Gdyby się nie miało farby drukarskiej, to wystarczyła sadza i olej, ale bardzo często można było zdobyć farbę drukarską po znajomości. Można też było użyć zabarwionej barwnikiem pasty komfort (takiej do podłóg), choć nie polecam, bo Krzyškowi Galińskiemu chemikalia rozwały oczy, ponieważ za długo siedział w niewietrzonej drukarni. Z ciekawostek – wydaliśmy pierwszą ulotkę Solidarności Walczącej w Gdańsku i numer ich pisma. Jakaś ekipa z Wrocławia dała nam makiety, a my to powieliiliśmy (podpisując się jako drukarnia RSA, chyba pierwszy raz na tym druku pojawiła się nasza mandala). Tak się wtedy współpracowało.

CHAOS: A jak wyglądała sprawa kolportażu?

Jany: Bardzo dużo ludzi wpadało właśnie na kolportażu pism czy rozrzucaniu ulotek. To było niebezpieczne, dlatego że działało się na masową skalę, bo przykładowo trzeba było pchnąć kilka a czasem kilkaset tysięcy egzemplarzy, np. ulotek anty-wojskowych było co najmniej sto tysięcy. A my byliśmy na tyle bezczelni, że potrafiliśmy drukować na tyle komendy milicji, bo Hryń mieszkał tuż obok... Największy problemem było upłynnienie tego wszystkiego i w ogóle wyniesienie z drukarni. Jak wspomniałem, całe stanowisko drukarskie mieściło się w moim neseserze – i to było nie do wyczajenia na ulicy. Jeśli jednak drukowało się więcej, potrzebny był już plecak. Jedni wpadali, inni nie. Pamiętam jak pewnego dnia podczas jakiejś demonstracji wracałem z drukarni. Miałem cały nakład pisma na plecach i ten nesese. Szedłem w poprzek manifestacji. Nikt nie spytał mnie, co niosę... Ale z tym bywało różnie. Znajomy np. zostawił plecak z bibułą w przechowalni i jak po niego wrócił, to wyszedł dopiero na amnestii. Zresztą nie robiła tego jedna osoba, nakład rozchodził się do ludzi, którzy część tego, co dostawali, przekazywali innym itd. Z akt SB wiemy np., że ktoś w pakowni herbaty w Gdyni ładował ulotki do paczek, które szły do Słupska etc. Rzucaliśmy ulotki na ulicach, kolportaż odbywał się też w szkołach, jak i na stoczni, a wtedy nikogo tam nie znałem! Wspierały nas w tym grupy młodzieżowe i podziemne komisje zakładowe Solidarności, np. „Solidarny” z Unimoru płacił nam za egzemplarze każdego numeru, który brali do kolportażu, mimo że „Homek” był bezpłatny. Byli też ludzie z Polonii, jak np. Jacek Sygnarski czy Bogdan Cywiński. Wspierano nas też sprzętem, np. otrzymaliśmy radio do nasłuchu milicji. Choć z drugiej strony sieć kolportażu była ucinana przez oficjalną Solidarność.

CHAOS: Dlaczego to robili?

Jany: Chcieli mieć nad nami kontrolę. Jeśli to im się nie udawało, a nie dali rady nie dostarczyć nam materiałów drukarskich, bo sami je sobie załatwiliśmy, to karali nas właśnie przecinaniem kanałów kolportażu. Działo się to z różnych powodów, np. tematem trefnym, z punktu widzenia opozycji, była krytyka wojska (chyba w drugim numerze „Homka”) lub kwestia religii (numer czwarty). I to zresztą na 30-lecie RSA potwierdził to Krzysiek Figel, który był ważną figurą w kolportażu i mówił, że rzeczywiście Bogdan Borusewicz zakazał

kolportażu „Homka”. To jest jedna z odpowiedzi na pytanie, dlaczego byliśmy anarchistami – zauważyliśmy, że zarówno władza, jak i tzw. „dorosła” opozycji nie chce prawdziwych zmian. Bo Solidarność – mówię o władzach – była samoograniczającą się rewolucją. Dlatego z jednej strony poszliśmy w anarchizm, a z drugiej w alternatywę.

CHAOS: Punk rock was nie pociągał?

Jany: Punków u nas nie było. Określiliśmy się jako anarchiści, ale też jako pacyfiści i w dużym stopniu byliśmy inspirowani przez kontrkulturę hipisowską. Tu znów przysłużyły się nieświadomie reżimowe media, bo publikowano naprawdę wiele o dwudziestej piątej rocznicy maja '68 w Francji, był nawet cały numer krakowskiego „Zdania” poświęcony temu okresowi na Zachodzie i w krajach socjalistycznych, w ZSRR, w Jugosławii, w Czechach, wiadomo w Polsce i chyba na Węgrzech się coś działo, ale na ogół nie miało to tej skali, co na Zachodzie. Natomiast idee były nam bliskie. Dlatego właśnie odkryliśmy – tu jeszcze a propo kolportażu – miejsca, do których nie docierała opozycja, czyli koncerty, mecze, młodzieżowe zjazdy. Wnikaliśmy w tego typu środowiska, część ludzi się z nich wywodziła, ale nigdy nie było tak, że byliśmy punkami, których chciano z nas zrobić w podziemnym „Tygodniku Mazowsze” itp. Nikt nie był punkiem, ani jedna osoba. Jedynym punkiem to może Skiba został w późniejszych latach, ale to też trochę na potrzeby bycia showmanem. Mój brat słuchał punka, ale nie bawił się w image punkowy. Chociaż w pewnym momencie puściliśmy w obieg kilka kaset z piosenkami, chyba Róże Europy, Tilt i coś tam jeszcze... Bawiliśmy się. Moglibyśmy udawać jedno z pierwszych wydawnictw punkowych.

CHAOS: Mieliście też pomysł na wykreowanie nowej subkultury.

Jany: Chcieliśmy ze Skibą wylansować nową subkulturę w Jarocinie. To nie wypaliło m.in. przez aresztowanie Skiby, o którym już wspominałem. Pomysł był taki, żeby przyjechać w kilkadziesiąt osób, w ubraniach stocznioowych, z ikonami wykonanymi z szablonów wielkości A4 czy A3. I jestem święcie przekonany, że za rok czy dwa przyjechałoby kilka tysięcy takich gości, bo wiadomo jak działa choroba sieroca punków i innych subkultur. W pewnym momencie zastanawialiśmy się nawet nad przekreśleniem skinów – napisać to samo, co my pisaliśmy, tylko słowo społeczeństwo zastąpić słowem naród, pisać o ekologii naszej ukochanej ojczyzny i ratowaniu naszej ziemi skąpanej krwią narodu – tyle że manipulacja jest niegodna anarchisty, a zajmowanie się nieudacznikami żywymi jest nużące. No, takie pomysły mieliśmy, w ramach naszej szajby. Świętej pamięci Belfer stwierdził kiedyś, że anarchista to jest trickster. Działa tak dziwnie, że nie można z nim walczyć...

Zina można zamówić tu: <http://chaosmojejglowie.pl/>

Link do pdfa: <https://tiny.pl/7cvdl>

Anarcho-Biblioteka
Teksty spod czarnej flagi



Janusz "Jany" Waluszko, Mateusz Flont
Początki RSA – między opozycją a alternatywą
Wywiad z Januszem „Janym” Waluszko
2019

[http://federacja-anarchistyczna.pl/2020/07/01/
poczatki-rsa-miedzy-opozycja-a-alternatywa/](http://federacja-anarchistyczna.pl/2020/07/01/poczatki-rsa-miedzy-opozycja-a-alternatywa/)

pl.anarchistlibraries.net